Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 30. Poznań, dnia 21. Października. 1839.

Literatura zagraniczna.

Der Mond nach seinen kosmischen und individuellen Verhältnissen, oder allgemeine vergleichende Selenographie, mit besonderer Beziehung auf die von Verfassern herausgegebene: *Mappa Selenographica* von W. Beer und J. H. Mädler. 2 Theile mit 5 Tafeln. **Berlin 1837.** (7 Thal.)

Są ludzie tak tępego pojęcia, iż się na najgrubszem oszukańśtwie nie poznają. Umieją z téj niedołężności umysłowéj korzystać szarlatani rozmaitego rodzaju, wodząc za nos łatwowierną tłuszczę, nie chcącą się dać przekonać, że jest oszukaną, a nawet wyśmianą. Sztuka mydlenia oczu tak jest upowszechnioną, że nie tylko w żonglerstwie, ale prawie w każdem zawodzie życia znajdziesz, jak najdoskonalszych kuglarzy. Oszwabić kogo, otumanić, zręcznie prawnemi kluczkami wypieniać, to u nas nie nowina. Co większa nawet w piśmiennictwie są dość częste literackie matactwa i do nich należą n. p. owe sławne, czyli raczéj osławione Herszlowskie »Odkrycia o księżycu«, będące prawdziwą satyrą na ograniczone rozumy; a przecie znajdą się po dziś dzień jeszcze w wierze mocne duchy, coby z łatwością powtorzonym tym wszystkim bredniom, jak najchętniéj uwierzyły, gdyby kto tylko choć najmniejszy pozór podobieństwa nadać im umiał. Powiedzieć im, że ci się udało złożyć teleskop, który ma się tak do najsilniejszego refraktora, jak tenże do ich zwyczajnéj operowéj lunetki, a wszystkiemu dadzą wiarę; niczemu albowiem niedziwią się, dla tego, żeby się właściwie wszystkiemu dziwić powinni. Ale szczęściem, że zdanie takich mędrków, którzy jedynie modnym krojem fraka i fryzurą zajęci, w niczem więcéj oświeconego swego wieku nie reprezentują, jak że uczęszczają na opery i balety, i swym bystrym wzrokiem najdaléj za kulisy sięgają, zachwycając się pięknością baletniczki, — szczęście mówię, że zdanie takich fircyków u rozumnych nie wiele znaczy; a to z téj przyczyny, że te półgłowki myślą, iż ważne odkrycia w naukach, n. p. w astronomii, są tak pospolite, jak tygodniowe niesłychane zjawiska mody, któremi przemyślny krawiec w Paryżu miałkie ich czaruje rozumy, i najmniejszego o tem nie mają pojęcia, że tylko myśl człowieka wolna, przebiegać może w jednéj chwile niezmierzone przestrzenie; lecz że duch w materyi uwięziony, ociężałym i powolnym w swem działaniu postępuje krokiem, nie robiąc takich skoków, jak oni w kontradansie albo kotylonie.

Że nasze oburzenie z jednéj strony przeciw nierozumowi ludzkiemu, z drugiéj przeciw nadużyciu jego, jest sprawiedliwe, dowodzi i w przeszłym roku wyszła nowa książeczka w Londynie, zawierająca dalszy ciąg mniemanych Herszlowskich odkryć z przylądka Dobréj Nadziei, a raczéj Łatwowierności ludzkiéj, któréj nie zbywało na ciekawych nowości, odurzonych czytelnikach; bo ograniczony człowiek, który się boskiego daru nieba, rozumu, używać nie nauczył, uszukany dziesięć razy, jeszcze za jedenastą razą leci oślep na lep, jak mucha do miodu. Aby więc raz położyć koniec zręcznemu kuglarstwie, mydlącemu oczy z siebie i tak nie zbyt bystre, a oraz przypomnieć czytelnikom naszym już to zasługi współziomka, który godny następca Kopernika, pierwszym jest twórcą prawdziwéj Selenografii czyli opisu księżyca; już też wskazać im w najnowszem i najlepszem dziele, ostatnie pewne rezultaty téj nauki, nie na pociesznych częstokroć domysłach, lecz na długich i mozolnych obserwacyach opartéj; postanowiliśmy kilka słów powiedzieć o Selenografii.

W naszym planetarnym systemacie znajdowała się od wieków pewna przerwa albo przepaść za planetą Marsa, gdzie właściwie z symetryi analogicznéj, wielki jaki planeta znajdować się był powinien i gdzie w naszych dopiero czasach cztery drobne, gołem okiem niedostrzeżone planetki, jak gdyby rozbitki z wielkiego jakiego i potężnego ciała, w skutku jakich niebieskich zawieruchów, znaleziono. Przepaść ta dzieli planety na dwie naturalne grupy czyli klassy, wyższe i niższe; iżbę

parów i gminu. Wyższe, jako: Jowisz, Saturnus, Uranus, nietylko, że się daleko ogromniejszą, niż niższe, napuszają wielkością; ale nadto trzymają sobie mniéj więcéj liczną służbę satellitów, (Jowisz ma 4 księżyce), dogadzając zapewne swéj arystokratycznéj dumie; ba co więcéj, stroją się w pierścienie (Saturn) i inne pańskie godła i błyskotki. Między planetami niższego rzędu jest jedyna ziemia, zakrawająca coś na panią, która sobie trzyma przynajmniéj jednego towarzyszącego jéj wszędzie służalca, czyli raczéj nocnego stróża.

Jakim sposobem popadł księżyc w to poddaństwo téj mniemanéj swéj pani, tłómaczą uczeni bardzo naturalnie: ponieważ księżyc piętnaście razy mniejszy jest, a zatem słabszy od niéj: — *ergo*... Jakożkolwiek bądź; ponieważ się ziemia w posiadłości swego prawa już od niepamiętnych znajduje czasów, i nie ma nadziei, żeby się księżyc kiedyś chciał wybić na wolność; przeto rzeczy podobno pozostaną *in statu quo*; tym bardziéj, gdy ziemia, nie mogąc się bez jego pańszczyzny obejść, nie głupia, żeby go sama dobrowolnie usamowolnić chciała. On bowiem mokrą jéj szatę porusza codzień (wzbieranie i opadanie morza), aby nie spleśniała i nie zgniła, i nie wiemy, czy piękna Venus ma do swéj posługi przy toalecie tak punktualnego kamerdynera. Nad to wyznać trzeba, że opłaty laterniowe w mieście, bezpieczeństwo policyjne, byłyby daleko uciążliwsze, gdyby księżyc swą pełną twarzą nie przychodził jéj w pomoc; z jego więc łaski ziemia piękny grosz do kieszeni schować może.

Lecz nie dosyć na tem. Jak nie jeden wielki człowiek posługuje się pracą biednego charłaka, tak podobnie ziemia ma z księżyca nadwornego poetę, kraszącego swem blado-srebrzystem blaskiem jałowe ramoty ziemskich wierszokletów, i pewny jestem, że gdybyśmy wszystkie te księżycowe natchnienia, jako:

»Księżycu, co się po ścianie wijesz nad memi oczyma« etc.

z wierszy naszych wyrzucili; objętość ich zmniejszyłaby się do połowy. Wpływ ten poetyczny księżyca na naszego planetę, jako nie ulegający żadnym prawnym, ani religijnym przepisom, ani obostrzeniom, bo poetom i malarzom wszystko wolno, nie jest tak niebezpieczny; ale że ten stary bałamut przedzierzgnąwszy się niekiedy w czarnoksiężnika, na lunatyków i somnabulistów, przeciwko wszelkim policyjnym przepisom, tajemnicze knuje zmowy, ba nawet z posłańcami nieba i piekła niepojęte miewać zdaje się kunszachty; w tem jest jego daleko większa wina, jak gdy poetom albo zakochanym głowę zawraca. Czyli nadto ma udział w atmosferycznych rewolucyach i burzach, o to już był wielokrotnie denuncyowany i sądzony; dla braku jednak pewnych dowodów *ab instantia* uwolniony. Proces ten atoli nie poszedł jeszcze *ad acta*, lecz przez barometrycznych inkwirentów codzień nowe poszukują się dowody w nadziei, że się z czasem cała jego wina wykaże.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Do dziecięcia.

Igraj, igraj łube dziecie!
Goń motylka, nuć z ptakami,
Pój się wonią, wraz z pszczółkami
Znajdziesz nektar w każdym kwiecie.

Ciesz się młody pączku życia,
Samo szczęście chwytasz w koło;
Każda chwila do użycia,
Póki wiosna kwieci czoło.

Baw się, baw się cna dziecino,
Rozkószuj w szczęścia dziedzinie;
Bo niestety kwiatki zginą,
I twój wiek dziecięcy minie.

Ach ty nie wiesz przyszłéj doli,
Jak to letnie skwary pieką,
Jak wre czucie, serce boli,
Jak myśl wzlatuje daleko.

Lecz naprożno w takiéj porze
Po swe kwiatki sięgniesz dłonią,
Bo świetnych nadziei zorze
W ciernistą cię przestrzeń zgonią.

W czarownéj złudzeń krainie
Błyśnie iskra w ciemnym mroku;
Lecz ten błysk jak piorun zginie,
Łza tylko zostanie w oku.

I chłodny powiew jesieni
Nie łatwo tę łzę osuszy,
Wtedy szczęście na kształt cieni
Będzie echem w twojéj duszy.

A gdy już w nagie konary
Skrzepłéj zimy zabrzmią tony,
I wspomnienie na kształt mary
Przesunie ci wiek miniony;

Zkądże wtedy ów kwiat szczęścia
Choć na jednę zerwać chwilę?
Znów on zejdzie dla dziecięcia,
Lecz już na twojéj mogile!

J. B.

Wyjątki z Stefana Czarneckiego.
Powieści M. Czajkowskiego mającéj wyjść wkrótce z druku.

(Udzielone redakcyi przez autora.)

Rozdział I.

Patrzyłem, jak zwinnie, polotnie, wesoło!
Po sali taneczne plątało się koło.
I jabym pohulał, ale w innéj dobie.
F. Ż. w Tyg. lit. Pozn.

»Przez ducha świętego, mój hrabio, śpiesz się, już mi cierpliwości zaczyna brakować.« Tak mówił czterdziestoletni mężczyzna, przybrany w hiszpański strój; przechadzał się po komnacie, hojdając kibicią wyuczonym ruchem, i jakby w takt ślizgając podeszwą po posadzce: to zarzucał na lewe ramie płaszcz z zielonego aksamitu, na próbę, jak zgrabniéj pochwalić haft lśniący złotem; to poprawiał kapelusz strojny w strusie pióra; półgłosem jakąś piosnkę nócił; spojrzał w zwierciadło, uśmiechnął się, widać rad z siebie, i znowu zwrócił niecierpliwy wzrok na swego towarzysza. Hrabia, jakby posąg kamienny, nieruchomie siedział na krześle, a człowiek, przybrany kuso i opięto, obwieszony ręcznikami i fartuchami, z grzebieniem w ręce jednéj, a z puszeczką w drugiéj, na jego głowie stuburczył i pudrował perukę, jakby na czupieradło do straszenia wróblów z pszenicy. Skończył sztukmiztrz fryzyer, a hrabia wstał i jednym susem skoczył do zwierciadła.

»A co, margrabio, czy mi do twarzy?« — »Przewybornie! gdzie idzie o fryzurę, tam pan Clermont, to Arystoteles, to Alexander Wielki,« i poklepał po ramieniu fryzyera; ten skłonił się, spuszczając oczy ku ziemi, zwyczajnie, jak człowiek, co zna swój talent, i skromnością udaną umie mu dodać blasku. Hrabia przyglądał się ciągle w zwierciadle, żal mu, się od niego oderwać. — »Wyśmienicie! do zachwycenia — przez niebo! Clermont, mianuję cię pierwszym fryzyerem kuli ziemskiéj, a twoją piękną opiekunkę, panią sandomierską, Dyanną z Poitiers naszego wieku! Co za arcydzieło! co powie pani wojewodzina! Mościa księżno trzeba poddać serduszko; niema rady; przepadła teraz kasztelanówna.« — Zamyślił się i po chwili wykrzyknął: «Harda hetmanówno, i na ciebie przyszedł czas. Niech żyje Ludwik czternasty! niech żyje Clermont! obydwaście wielcy, każdy w swojem rzemiośle. Tymczasem Margrabia się niecierpliwił.« — »Mój hrabio, na miłość Boga, ubieraj się! Już panowie Sarmaci kolasami, dryndulami i konno walą, a walą do zamku.« — »Dobrze, będę się ubierał, ale pod warunkiem, że będziesz mi mówił, kto przyjeżdża.« Szybko zwrócił się twarzą ku komnacie: »Picard, pójdź mię ubierać!» i kamerdyner zwinął się po szaty, a Margrabia stanął przy oknie, i na w pół je otworzył.

Obaj ci cudzoziemcy znajdowali się w jednéj z komnat zamku królewskiego, przeznaczonych dla francuzkich gości nawiedzających królowę Ludwikę Maryą, a tem samem Warszawę i Polskę. Z okna było widać główną bramę od Święto-Jańskiéj ulicy i krużganek zajazdu przed królewskiemi komnatami. Wieczór lipcowego dnia, jeszcze nieobrzucił szarym mrokiem tła niebios, a setne pochodnie i łuczywa smolne pozapalane na zamkowym dziedzińcu, rozświecały powietrze rzęsistą jasnością, jakby na przekorę niknącemu dniowi. Hrabia ubierał się, a margrabia stał przy oknie.

Pan Krakowski poszóstną kolasą w prost przed krużganek zajechał, wysiada, bravo! Imość w napiętrzonéj fryzurze, jak wieża gotyckiego zamku, a imościanki w mantelach i robronach; czy niechcą cieszyć Exjezuitę, jak niegdyś cieszyła piękna Agnieszka naszego Karola w Bourges. Jegomość jeszcze po sarmacku, ale już wysiadając z kolasy, podryguje po naszemu, jak pajac, kiedy przedrzeźnia skoczka. Rozśmiał się hrabia, »Wybornie prawisz, przez niebo, poczciwy to naród ci Polacy, ale i śmieszny. Byleś im powiedział, tak robią za granicą, zaraz chcą małpować; a te kobiety, co to za koczkodany, jak się zaczną stroić i mizdrzeć po cudzoziemsku, żeby to można pozawozić do Paryża te rarogi, jakby się to ubawiły nasze piękne panie.« — »Słuchaj: pan wojewodzic Kaliski i pan starosta Gnoiński, obydwa w hiszpańskich płaszczach, jak niedźwiedzie niezgrabni, pozadzierali głowy strojne w kapelusze z piórami, puszą się, gdyby pawie. Cha! ha! ha! przez ducha świętego pan wojewodzic na hajduka po francuzku woła.« — »Panie margrabio, to za nadto! pan wojewodzic mój współ-zalotnik; że się na Hiszpana przestroił, na to pozwalam, ci panicze Polscy, djabeł wie, jak się poprzestrajają, byle po cudzoziemsku; ale żeby do hajduka po francuzku mówił, na to nie pozwalam; mój drogi przesadzasz.« — »Na świętego Ludwika ci się klnę, że jak krowa hiszpańska, porykuje naszym pięknym językiem. Polak, jak się nauczy cudzoziemskiego słowa, jak papuga owrzeszcza niem na całe gardło. Ale, otóż i pan starosta Makowski przyjechał na arabskim rumaku, stanął przed bramą, zsiadł, oddał konia, i idzie przez dziedziniec, karabelą brzęczy, pokręca wąsa i czapkę na ucho poprawia, to to jeszcze uparty Sarmata.« — »Zwyczajnie szlachcic, nie magnat; magnaci już zcudzoziemszczeli, z czasem i szlachta się przerobi, choć się teraz niektórzy srożą; nałogiem polskim, co magnat zrobi, to szlachcic zmałpuje, prędzéj, czy późniéj, — z resztą Polak tylko w boju i przy kielichu Polakiem, a w ka-

żdym innym razie chce być cudzoziemcem — u niego, co ojczyste, choćby najlepsze, to tego się wstydzi; a co obce choćby najgłupsze, za tem się ugania.« — »Tem lepiéj dla nas, tem gorzéj dla nich — ale przecież się ubrałeś.«

Hrabia miał na sobie rodzaj fraka aksamitnego szafirowéj barwy, nad brzuchem w kąt rozwarty, poły kończyły się na kostkach; na szwach i w poprzek na piersiach, złote galony; guziki złote upstrzone drobniutkiemi brylancikami, spodnie z grodeturu amarantowego po kolana, szamerowane złotem naszyciem, kamizelka z złotéj mory z amatystowemi guzami, za frak o cztery cale wystająca; pończochy białe koło kolan fontazistemi podwiązkami związane, trzewiki z czarnego zamszu, spięte na złociste sprzączki, na głowie peruka, jak pudło ogromna i usypana cielistym pudrem, pod pachą kapelusz trojkątny z czarnem piórem, przy boku szpada, a w ręku trzcina; — Margrabia przypatrywał się jego strojowi, pokręcał swój wąsik i gładził hiszpańską bródkę. — »Przez ducha świętego, pozawracasz teraz do reszty głowy tym biednym Polkom, ubolewam nad ich losem.« — »Nie ubolewaj, ale pocieszaj, kiedy ja którą opuszczę,« rzekł hrabia z pewną dumą, wychodząc z komnaty. Margrabia, idąc za nim, przebąknął. — »Niech i tak będzie, zobaczemy, kto po kim będzie pocieszał.«

Było to roku pańskiego 1655 Karól Gustaw potomek nieprawego przywłaszczyciela szwedzkiego tronu, widząc Polskę szarpaną domową wojną i uciśniętą moskiewskiemi najazdami; znając niepokwapność do wojny, i serce chciwe pokoju i zgody w Janie Kazimierzu; z chęcią nadstawiał ucho podszeptom i obietnicom zdrajcy Radziejowskiego, i postanowił napadem na polską ziemię, zawłaszczyć dla siebie i dla swoich, dziedziczne prawo Zygmuntowego syna. Polak to, mszcząc się zniewagi osobistéj, a więcéj jeszcze dogadzając widokom dumy, wiódł zgraję Skandynawów na najazd ojczystéj ziemi.

Już szwedzcy knechci i rajtarowie zawitali w goście do pomorskiéj krainy, i do dawnych siedzib krzyżackiego zakonu. Już wodzowie szwedzkiego Karola, Wittemberg i Königsmark wkroczyli do dziedziny Wielkopolanów, a Jan Kazimierz miłośnik pokoju, myślał, że zgodą waśń skończy, i nic stanowczego nie przedsięwziął do wojny.

Od dawna on wiedział o zamiarach Karola; polscy posłowie ze Sztokolmu donosili o nich; Szwed ich nie taił; ale król dobrego serca, nie zaś królewskiéj woli, w miejscu rozesłać wici między panów szlachtę, żeby na koń siadali i samemu na ich czele biedz przeciw wrogowi ojczyzny, poprzestał na tem, że dał wiedzieć hetmanom na Ruś i na Litwę o niebezpieczeństwie Polski, i zawierzył przyrzeczeniu Wielkopolanów, obiecujących zajść drogę Szwedowi i zmiazdżyć go na zgniłe jabłko.

Przez gońców doniesiono z Kalisza, że dwadzieścia tysięcy wielkopolskiéj szlachty, pod wojewodami kaliskim, poznańskim, inowrocławskim i podlaskim, stanęło zbrojnie w Uściu, nad Notecią, gotowéj popróbować się ze Szwedem.

Wielkopolscy panicze goszczący przy królewskim dworze, uroczyście oświadczali królowi Jegomości i krolowéj Imości, że ani jeden Szwed nie wyjdzie za Bałtyk, aby zaniósł wieść o klęsce swoich.

W Warszawie rachowano na pewne zwycięztwo. I królowa Ludwika Marya, wdowa po królu bohaterze, a małżonka Jana Kazimierza postanowiła obchodzić świetnemi zabawami dzień świętéj Anny, dzień patronki jednéj z ulubionych polskich panien Anny Sapieżanki, córki Pawła Sapiehy, wojewody wileńskiego.

W królewskich komnatach zwyczajnie, jak w dzień wielkiéj uczty, szumnie, dworno, hucznie i jasno, — w złocistych i srebrzystych świecznikach, wyginanych i wiązanych w dziwne kształty, tysiącami jaskrawe światła płoną; ścielą się szerokiem łunem po obiciach adamaszkowych obrzuconych lśkniącemi się szlaki. Pod ich jasnością rozświeciły się kosztowne sprzęty z hebanu i bukszpanowego drzewa, ozdobne w snycerską rzeźbę i natykane blaszkami z metalu albo z perłowéj macicy; połyskują się obicia z tureckiego altembasu i z włoskiéj brokadii, a perskie kobierce rozesłane po posadzce, pstrzą się barwiastem tkaniem wschodu; w sieni i przedpokojach pełno paziów i hajduków królewskich, i służby polskich panów.

W komnatach gości hukiem, kobiety postrojone: jedna w długiéj robronie, w fryzurze przetykanéj kwiatami, jak francuzka przybrana; druga w aksamitnym barecie z perłami, gdyby hiszpanka jaka, u tej alszmbant z dyamentami ściska szyję, gdyby u niemki; u tamtéj po flamandzku popiętrzone kryziki z brabanckich koronek; ta obnażyła pół piersi zwyczajem lubieżnéj włoszki; tamta gdyby Turczyn jaki oczepiona złotogłowami i tyftykami. Na głowach kiwiory, bawolety, reginy, i Bóg wie, jakiego nazwiska stroje; wszędzie pełno zausznic, kanaków, nagłówków z drogich kamieni i złota; rzekłbyś, żeś nie w Polsce, ale w Wenecyi, na maszkaradzie; niedojrzysz tam kabacika skromnéj panienki, ani polskiego kontusika na ramionach hożéj niewiasty — darmobyś szukał kołpaka na głowie młodéj mężatki, albo sobolowego szłyka na skroniach poważnéj matrony, wszystko to wygnane z polskiéj ziemi; modną pro-

żbą: ojcze, mężu! pozwól mi się przebrać po cudzoziemsku; a niebaczni mężowie i ojcowie pozwalali, niepomni, że za wygnaniem stroju, pojdzie wygnanie języka, a za niemi dalsze rzeczy.

Między mężczyznami jeszcze mnóstwo kontuszów, jeszcze karabele brzęczą, i wąsy się pomuskują, ledwie tam jaki taki gaszek, albo szaławiła, zawiesił na ramiona płaszcz hiszpański, z florencka opięto przystroił się w aksamity, albo przyzwolił polską czuprynę przestroić na fryzurę szpica.

Cudzoziemców było niemało, a ci przybysze choć panoszyli się swoim obcym strojem, i chwalili go na całe gardło, jednak w duszy czuli się być pacholikami, przy okazałych i bogatych polskich ubiorach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dziadek.

(Gawęda z rodzinnego podania.)

I.

Dziewiędziesiąty rok dobiegał, jak stolnik pierwsze światło ujrzał, jak go matka do serca przytuliła, ojciec następcę swego radośnie powitał, i w kołysce uspił. — Przebywszy tyle burz w życiu, pochylony wiekiem, umysłem i styraną siłą, wracał do dziecinnego wieku, i jak dawniéj wypoczywał w kołysce, tak teraz zasypiał w dużem krześle. — Hanna, młoda wnuczka, była ostatnim kwiatem, co mu umilał żywot długi, ostatnią zarazem gałązką z bujnego szczepu stolnika domu, bo synowie i córki razem z jego ukochaną małżonką, spoczywali już snem wiecznym na cmentarzu przy parafialnym kościele we wsi. — Ona jedna tylko została, co starca rozweselić umiała, i pielęgować to dziecie siwe pragnące ciągłego spoczynku — i wygody.

Kiedy wieczór Hanna, przy kądzieli siedząc obok dziadka, śpiewała piosnki; — starzec słuchał, czasem zanócił z cicha i usypiał snem miłym.

I teraz w pobliżu komina siedział starzec, popijając winną polewkę. — Wiatr zimny poświstywał na podwórzu, Hanna z zasępionym obliczem to przyrzucała drewek dębowych w ognisko, to przędła na kołowrotku, rzucając często oczyma w okno, zkąd widok na sad owocowy, a w jéj oczach malowało się oczekiwanie, z bojaźnią.

»Dziecię moje, czemu nie śpiewasz?« rzekł starzec, »śpiewaj, to zaraz weseléj w domu opustoszałym.« — Hanna zwiesiła głowę i zanóciła znaną piosnkę ludu:

Przyleciał sokoł przed tutejszy dom
I padł w ogrodeczku,
Przy wonném zioleczku
Roztoczył ogon.

Kasienku miła, Jasio cię woła,
Byś do niego wyszła,
Sama jedna przyszła,
Sama jedna zgoła.

Kasia nie chciala,
Lecz posła wysłala
Poseł nic nie sprawił,
I długo się bawił.
Potém sama poszła.

Terażże teraz wóz mój zataczajcie,
Pojedziemy w nasze strony,
Kędy dom mój ubielony,
Konie zaprzęgajcie.

Jak ci wyjechali daleko na pole,
Kasia zaplakała,
Ręce zalamała
Na swoją dolę.

Obejrzyj się Kasienko! obejrzyj kochanie,
Czyliś czego zabaczyła,
Czyliś mną już pogardzila,
Na co plakanie?

Mily Jasiu, zabaczyłam dla ciebie cnoty,
O daj mi się do dom wrócić,
Serce ojca nie zasmucić,
Jasiu mój zloty.

I nieskończyła ostatniéj zwrotki téj pieśni, łkając rzewliwie. Ta pieśń dobyła z jéj serca boleść tajoną, a łzami nierozpłynęła się wcale. Starzec już usnął, gdy lekkie stuknienie w oknie dało się słyszeć. — »Bożeż mój, czy to już?« — „Tak, moja Hanno, czekam oddawna — już wszystko gotowo.« — Drzało biedne dziecię, wahając się na przemian. Spojrzała na dziadka. »O, najświętsza panno! ja go mam opuścić? a któż go pielęgnować, kto o nim staranie mieć będzie?« I uklękła przy nim, całując go w rękę opuszczoną z poręczy. — »Hanno! moja Hanno! mamże więc odejść, i niewidzieć cię nigdy.« Zabrzmiał mocniejszy głos w oknie. „Dobrze! odejdę — ale więcéj na téj ziemi już się nieujrzymy!« — »Dziadku mój drogi!« wyjękło dziewczę, ściskając śpiącemu kolana, „czy ty mi przebaczysz? daruj mi, przebacz — bo ciebie nie opuszczę na zawsze — i wkrótce znów będę przy tobie.« — »Boże błogosław!« wyrzekł starzec snem zmorzony, a Hanna jednym skokiem stanęła przy oknie. Czekał na nią dorodny Janko, przebiegli chyżo sad długi. Na gościńcu czekała bryczka i cztery dzielne bieguny; za chwilę już przejechali granicę dóbr stolnika, i zniknęli w bukowym lesie.

Kiedy zegar uderzył dziewiąta wieczorną, weszła stara Brygida, klucznica i gospodyni domowa, aby pana

zaprowadzić do łoża; pomagała jéj w tem i Hanna. — Patrzy, okno roztwarte — niemając podejrzenia, z podziwieniem zamyka — czeka na pannę, daremnie. Niespokojna dopytuje, nikt niewie, gdzie znikła; biedna niewiasta poczęła głośno szlochać. — »Co się stało?« zapytał zbudzony starzec, »czego płaczeta? czy gęsi lis porwał, czy zginęły kurczęta?« — »Panie!« odrzekła klucznica, »wielkie nieszczęście — pannę nam porwano!« — »Moją Hannę? — Hanno! Hanno! odezwij się przecie!« i stanął silnie na nogach, z podziwieniem domowników, bo już lat trzy, jak podupadł, nie stąpił i kroku. »Pawle!« zawołał silnym głosem, »niech dworscy zbrojnie dosiędą koni — rozpalić pochodnie! A teraz podajcie mi kolczugę, moją szablę z nad łoża i czapkę z czepcem żelaznym.« — Paweł zbladł, osłupiał, — myślał, że ostatnia godzina starcowi wybiła, patrzał rychloli z wysilenia skona, lecz stolnik stał krzepko, z wyniesioną prawą ręką w górę, jakby się gotował do cięcia szablą nieprzyjaciela. — Brygida upadła na kolana, zaklinając go, aby usiadł; — lecz starzec grzmiącym głosem wołał szabli i zbroi. — Gdy Paweł w przestrachu nie wiedział, co czynić, stolnik pewnym krokiem zbliżył się do łoża i zdjął szablę; pachołek podał mu drucianą koszulę i czapkę z żelaznym czepcem. — »A teraz dziatwo moja!« zawołał stolnik, »trzeba ciało wzmocnić, podajcie puhar herbowny.« — Drząca Brygida, patrząc, jak na cudo, nalała puhar żądany, który do dna starzec spełnił, i wyszedł na ganek, prowadzony od Pawła, chcąc dosiąść rumaka.

Rozjaśniło sześć pochodni pomrokę nocy grubéj jesieni, na pięciu koniach siedzieli dworscy uzbrojeni. »Rozdzielcie się Wasze na dwie części: jedna ze mną, druga w przeciwną stronę z kopyta! Niemasz przebaczenia, tnij rąb — uwodziciela! Zabiję! zapłacę!« wołał coraz z większym uniesieniem, »ale odbiję moją Hannę!« A po tych słowach, wspomnieniem utraconéj wnuczki dotkniony, osłabł — zachwiał się i upadł. Dworscy obtoczyli wieńcem starca biednego, a sześć pochodni ukazało widnie blade śmiertelne oblicze stolnika, i twarze smętne, zapłakane domowników przywiązanych.

II.

Dwa lata dobiegało właśnie od chwili zniknienia Hanny; stolnik i teraz, jak w owéj dobie, siedział przed kominem, a miejsce Hanny zajmowała stara i zgarbiona pod brzemieniem wieku Brygida, nucąc drżącym głosem dawne pobożne pieśni. Starzec nie liczył godzin, ni czas miniony, bo sen częściéj niż kiedy mrużył mu oczy; snami żył błogo, widział w nich nieraz to zmarłą córkę, to Hannę swoją, ów skarb drogi, który tak nagle utracił. Brygida słyszała i we śnie stolnika boleśne westchnienia, a nieraz imie Hanny powtórzone; a przecież na jawie zdawało się, że o niéj zapomniał, że nic nie brakuje w tych samotnych komnatach, które śpiewem i wesołością napełniało niegdyś radośne dziewczątko. Ale starzec zamknął w sercu boleść głęboką, — milczał, ale myślał o Hannie, a sny stawiały mu wierne obrazy ukochanéj wnuczki. Nieraz w ułudzie marzył, że widzi ją przy sobie, że ją słyszy, głos dopiero drżący i chrapliwy staréj Brygidy wywodził go z obłąkania, rozdzierał mu serce bolesnem przypomnieniem, gdy Brygida swoim zwyczajem w wieczór przyśpiewywała, w mniemaniu, że uprzyjemnia chwile stolnikowi.

Jesienna była doba, a u nas jesień ma dnie wiosny, lata i zimy; przed wschodem słonka, przymrozek bieli murawy i pola, późniéj się zmienia w rosę kroplistą — w południe cały urok lata rozwija się jeszcze. Tylko liść zżółkły na drzewie — liść opadły na ziemię zwiastuje, że pora mroźna zapasem, że czas rolnikowi, aby zbierał co rychléj plon, jaki mu Bóg urodził, co go ochroni od głodu i niedostatku.

Paweł, stary sługa stolnika, jego powiernik poufały, zarządzał gospodarstwem, — on co wieczór stawał przed panem i zdawał liczbę z robot całodziennych, — i właśnie w téj chwili, gdy drzwi do komnaty starca otwierał, usłyszał turkot kolasy przed gankiem dworu: zatrzymał się i spojrzał. — Cztery siwki w krakowskich chomątach ze dzwonkami, ciągnęły rzeźwo kolasę, jak wonczas ozdobną. Głębokie pudło w kształcie łabędzia wisiało na czterech łańcuchowych resorach, świeciło wyzłoceniem i malowaniem; było bez nakrycia, za to w każdym rogu ozdobione figurą z drzewa pomalowaną. W jednym murzyn z odkrytą głową pokazywał białe zęby, w drugim spasły Turek bielił ogromnym turbanem, w trzecim Niemiec palił fajkę, a w czwartym dziewica trzymała parę gołąbków. Wśrodku siedziała wyróżowana i wybielona panna Katarzyna z dwudziestą czterą muszkami na licach, czole i nosie, przy swéj matce, poważnéj matronie, a siostrze ciotecznie rodzonéj pana stolnika.

Stolnik drzemał swoim zwyczajem, gdy weszła pani skarbnikowa, i z prawdziwem afektem rodzinnym uściskała swego brata. Rozweseliła czoło starca, który ją po Hannie najwięcéj lubił. — »Jakże się masz? panie bracie, — dawnośmy się niewidzieli, i mnie gniecie ciężar wieku — już to na siódmy krzyżyk człek zarywa.« — »Co wam wadzi, pani siostro, — jać dziewiąty pominąłem — to wy młodzik przy mnie — i gdyby nie troski — nie turbacya o moją Hannę . . .« Tu uciął, łzy zatamowały mu język — w głos się rozpłakał. —

Skarbnikowa kazała odejść córce, — a gdy sami zostali, tuląc starca, rzekła: »Panie bracie! Bóg trapi i pociesza — niech się święta jego wola stanie; — Hanna żyje zdrowa — chce upaść do kolan waszych razem z małżonkiem, i waszym prawnukiem!« — »Gdzie jest Hanna?« wykrzyknął w uniesieniu i stanął krzepko na nogach, aż osłupiała skarbnikowa: »ale niech mi jéj podły uwodziciel na oczy nie staje! Zwodziciel dzieciątka mego — nie splugawi progu mego. Pawle!« wołał w gniewie, »kord mój w wężowéj skórze! jeżeli tu zjawić się poważy, łeb rozpłatam, jak to niegdyś murzy tatarskiemu pod Podchajcami.« I wyniósł rękę w górę, potrząsając nią groźnie.

(Dokończenie nastąpi.)

K r y t y k a.

Sławianin, *zebrany i wydany przez Stanisława Jaszowskiego, tom drugi. Lwów u Piotra Pillera,* 1839.

(Dokończenie.)

Nie wiem nareszcie, jak dalece autor zgłębił starożytną mitologią indyjską do pojęcia i wyłuszczenia wszystkich innych niezaprzeczenie potrzebną; to jednak pewna, że bóg syn, ogień, trzecia osoba Trimurtis (trójcy) indyjskiéj nie Siwa jest, ale Siwas. Wiem, że podobny błąd popełniali niektórzy z nieznających języka niemieckich uczonych (n. p. Heeren), nie jest on jednakowoż obojętnym, gdyż odmienia całkiém znaczenie, a Siwa jest albo dźwięk pierwotny bezrodzajny, lub pierwszym spadkiem rodzaju żeńskiego znacząc małżonkę Siwasa, lub nareszcie w rodzaju męzkim użyte znaczy o! Siwasie!

Do lepszych utworów wierszem należą sonety Olizarowskiego, widzimy w nich całość ożywioną natchnieniem, ozdobną pięknemi stósownie dobranemi obrazami, błyszczącą nieraz nowością pomysłu, lub poetyczném oddaniem:

. . . . . Jesteś piękna młoda,
Masz wzrok i serce szybkie i myśli szybkością,
Tak odpłyniesz odemnie, jak od góry woda.

Jednakowoż brakuje im zupełnego wykończenia; autor pozwala sobie dla rymu wtrącić myśl, lub słowo w rozwinięciu głównego pomysłu obce lub obojętne i zaciemia w ten sposób rzecz zresztą jasno prowadzoną.

I pomyślałem w duchu, ażali cnotliwi
Rozprawiają o cnocie, ażali jest męzki
Pomiędzy światowymi? Mój róg czarnoksiężki etc.

Przeciwnie zaś sonety humorystyczne bezimiennego dowodzą pióro wdrożone i wytrawne, celują łatwością, pojedyńczością i naturalnością w opowiadaniu. Są tem, czem jako humorystyczne być miały; znajdziesz w nich prawdę, zręcznie i dowcipnie oddane charakterystyczne śmieszności, ale nie znajdziesz poezyi. Daléj utwory Adama Gorczyńskiego po większéj części historycznéj treści (bo pomijam próbki do słownego a nieszczęśliwego przekładu już w pierwotworze nie szczególnych pieśni Hankowych). A. G. stara się nas obznajomić z duchem czeskiéj poezyi przeszłości. Oswojony widać dokładnie z Królodworskim rękopisem często go w obrazach swoich przypomina. Tak powieść »Iza i Mielanko« przywodzi na pamięć Turnieje (Siedanie). Układ jéj pojedyńczy nie zawikłany, nie sztuczny, opowiedzenie łatwe i powabne, a co w artykułach Sławianina szczególna, odznacza choć jeden rys wieku, do którego należy. Toż samo można powiedzić o Hynku z Waldstajna i o Łupach. W ostatniéj powiastce uważamy prawdziwą nie na szczególnych wyrazach, pojedyńczych myślach i wyrażeniach, ale w treści samego pomysłu zasadzoną poezyą, będącą posadą całego obrazu. Tak kiedy Boczko oczekując synów, każe ścinać jabłoń, która mu zasłaniała zachodzące słońce, a potém dąbrowę broniącą dalszego widoku na drogę, po któréj już od dwóch lat swoich wygląda, pomysł ten najprozaiczniéj nawet oddany, nie przestałby być poetycznym, bo złoto w ręku kowala nie przestaje być złotem. Najmniéj udała się legenda c h l é b Doliczę nareszcie do lepszych utworów parę kawałków zkąd inąd zaszczytniéj nam znanych Klemensa Boguckiego i Albina Niezabitowskiego; błyszczą już w nich iskierki poetycznego natchnienia, pełnego pięknych nadziei; ale są to początkowe próby tych za wcześnie zmarłych pisarzy. Do reszty rymów dałby się dokładnie zastósować wiersz samego wydawcy: »Pusto mu w sercu i w myśli.« A prócz tego znajdziesz jeszcze krzyczące śmieszności, wytartą mierność i prawdziwe żakostwo. Tak n. p. jakiemuś L. zachciało się cudzą prozę niewolniczo na wiersze zamienić i ten brak myśli nazwać myślą. Trzebaby, dodać czarną, w tém znaczeniu, w jakiém brak kolorów pospolicie czarnym kolorem zowiemy. Coś podobnego jużby może i w zadaniach gimnazyalnych nie uszło! Wydawca jest odpowiedzialnym i za obce artykuły, które w piśmie swojém umieszcza, i tem samem zdaje się publiczności zalecać. Wybór, jaki w tym względzie uczyni, wytyka jego stanowisko i świadczy o jego pojęciu. Albo niech nas uprzedzi, że bez wyboru, co mu pod rękę wpadło, przyjmował, a nie będziemy mu ganić ani dziwić się, że w Sławianinie umieścił Monolog samobójcy i pseudo-poezye A. Uznańskiego, Turowskiego, Poźniaka lub pieśni, które są istotném wyszydzeniem wszelkiego uczucia piękności i dobrego smaku, a nawet zdrowego rozumu. Tak n p. w 3ciéj, podróż do kochanki, zaczyna autor od Wi, ha, hot, prawi potém do koni ni to, ni owo i pociesza je nareszcie

Kiedyż u nas to nastanie,
Ten przemysłu nowy czar,
Co kochanka do kochanki
W lot przeniesie mocą par (wozem parowym po kolei żelaznéj);
Wtedy koniki wytchniecie,
Wszelkich unikniecie psot, i t. p.

Nie jestże to, mieć za poezyą, cokolwiek komu ślinka do ust przyniesie! Gdybyż jeszcze obok tego wszystkiego znalazł się choć jeden pomysł, niech nie prawdziwy, ale szczytniejszy, choć jeden zwrot, niech przesadzony, ale śmielszy, choć jedna barwa, jeden urok żywszy i jaśniejszy nad martwe uczucia najzimniejszego prozaika, udającego niecierpliwość kochanka: już dla téj bladéj iskierki, dla téj wątłéj nadziei pomyślałbym sobie: bolała go głowa, gdy pisał i milczałbym. Ale zachęcać dziarskie koniki do rączego wyścigania myśli wlekących się ciężéj, jak po grudzie, jest to oczewiście marnować w wierszach, swój talent może matematyczny, nie litując się czytelnika, na co przynajmniéj przedpłaciciele zasłuzyli. Wspomnę nareszcie o powieści huculskiéj Karola Antoniewicza. Jest w niéj Roman, jest i Afija, są połoniny, tylko niema huculów.

Tę melodramę odgrywają w Karpatach przebrani aktorowie niemieccy, myśląc że byle tylko powiedzieć parę wyrazów huculskich, n. p. s i w y t o w a r i t. p., to można już potém unieść się à la Petrarka.

Tyś moją duszą, gwiazdą na mém niebie!
Scigany, błędny śród skał umrzeć muszę;
W zamian za życia miłośne rozkosze
Tobie w pamiątkę oddaję mą duszę.

a będzie to zawsze huculskie. Tam do kata pomyśli sobie cudzoziemiec co to za kraj Abelardów! Ale ja znam dobrze Huculów. Autor znany nam z dawniejszych swoich wierszy, dowiódł nie dopiero teraz, że nie ma najmniejszego do poezyi powołania. Przymusza się, do natchnienia udaje, zapał i

nczucie; szkoda, bo mógłby korzystniéj użyć czasu ćwicząc się w prozie; jego wyciąg z dziennika podróży do Jas czyta się z przyjemnością i zajęciem. *L.D.B.* —

Doniesienia literackie.

Pierwszy tom dramatów Józefa Korzeniowskiego wyszedł w Kijowie, zawiera »Klarę i Anielę« (już dawniéj w próbach dramatycznych w Poczajowie wydane) i nie drukowany dotąd dramat »Piękna kobieta.« Jest jeszcze przygotowany tom 2gi i 3ci.

J. J. Kraszewskiego wyszły z druku: Wspomnienia Polesia i Wołynia, z których niektóre wyjątki były w naszem piśmie. Także 2gi i 3ci tom jego Wędrówek literackich, fantastycznych i historycznych wkrótce wyjdzie z druku w Wilnie.

Michała Grabowskiego Literatury i Krytyki tom 3ci już wydrukowany u Glücksberga, a w drukarni Marcinkowskiego wyszedł 5ty tom Dziejów Litwy przez Narbutta. Zawadzcy zajmują się wydaniem Historyi Wilna przez Kraszewskiego Pierwszy tom na nowo przedrukowany będzie dla uzupełnienia edycyi.

Autor »Amerykanki w Polsce«, pan Tyszyński, ma wygotowany w rękopiśmie dramat w trzech obrazach pod tytułem: »Próba.« Dzieł Szekspira wyszedł tom I., zawierający: Hamlet, Julię, Sen w wigilią S. Jana; z rycinami na stali.

»Pamiętników do Panowania Jana Kazimierza« wyjdzie z druku w Poznaniu za dwa tygodnie tom pierwszy.

Pan Günter w Lesznie wyda niemieckie tłómaczenie J. J. Kraszewskiego »Swiat i Poeta.«

Tomasza Olizarowskiego poezye wyszły pod nazwą Exercycye poetyckie w Londynie w drukarni S. Milewskiego; zawierają: Krzyż w Peredylu, powieść wołyńska Szala, satyra. Wniebowstęp, mysterya. Paweł z Tunik, fragment. Sen, humoresk. Podróżny w Wenecyi. Rozmyślanie. Sława Bogu, wojenny śpiew Wołyńców. Poezye te są w pismach polskich wychodzących za granicą pochlebnie oceniane. Autor długo nie czuł w sobie najmniejszego powołania do poezyj; przykładając się w szkołach do matematyki, tylko przypadkowo czasem sklecił kilka wierszy; wiersze te choć wcale nie złe, stały się jednak przedmiotem żartów i wyszydzeń z strony jego współkolegów. Żarty te i drwinki były jednak właśnie bodźcem dla niego do pracowania w tym przedmiocie, tak dalece, że zaniechawszy przykładać się do matematyki, rzucił się do robienia wierszy. Szczęściem jeden zeszyt ich wpadł jego nauczycielowi języka polskiego Korzeniowskiemu w ręce, który poznał talent ukryty w Olizarowskim, polubił go i zachęcał do pracy. Olizarowski ma obecnie dwadzieścia i kilka lat. Z jego poezyi wiele pozostało i zaginęło w Galicyi.

W Bruxeli wyszły dopiero teraz zapowiedziane »Pierwiosnki,« poezye Michała Budzyńskiego. Zawierają: Podróżny w r. 1831. — Nadzieja — Wieczór — Przypomnienie — Tułacze — Wędrówka — Pożegnanie rodzinie — Sen — Więzień samotny i t. d. Oprócz tego dziewięć sonetów i wiersze z godłem: «chorowałem, marzyłem.«

Dnia 6. Września na posiedzeniu Akademii nauk p. Rossi czytał rozbiór pisma p. L. Wołowskiego, »*de la mobilisation du credit foncier,*« i chwaląc, polecił je uwadze akademii.

Pani Hofmanowa wyda wkrótce nową powieść w Lipsku u Breitkopfa i Hertela pod nazwą »Karolina«. Druk dwóch tomów już ukończony.

W Nrze 24. Abendzeitung z dnia 30. Września znajduje się pięknie i poetycznie napisana powieść muzykalno-fantasmagoryjna: »die Vöglein-Etüde.« Przedmiotem jéj jest Chopina »*la ci darem la maro*« i znana etudu (Nr. 6ty) Henzelta

Si oiseau étais
à toi je volerai.«

Tamże czytamy dalszy ciąg nudnego artykułu »Bilder aus Polen.«

»Czerwona sukienka« przełożoną została na niemiecki język, i znajduje się w ostatnich numerach jednego z pism berlińskich; tłumaczem jest ks. Gizewiusz, pastor kościoła polsk. w Osterodzie. — W Gesellschafter z dnia 4. b. m. znajduje się także powieść przez Karolinę Leonhard-Lyser pod nazwą: Schloß Maleßow (Maleszów) und seine Bewohner. Jest to dość zgrabne przerobienie dziennika Franciszki Krasińskiéj znajdującego się w tomie trzecim pism p. Hofmanowéj.

»Polski ozdobniczéj« *(Pologne illustrée)* wyszły drugie cztery poszyty; znajduje się w nich powieść z XIX. wieku Helena Ostroróg przez p. Olimpią Chodzko, rzut oka na sztukę dramatyczną w Polsce p. Wojciecha Sowińskiego, i opis kościoła ewanielickiego w Warszawie, dodane są trzy ryciny: dwie przedstawiające kościoł ewanielicki w Warszawie i teatr narodowy tamże, są wykonane przez p. Pilińskiego, trzecia wyobrażająca Helenę Ostroróg jest pracą angielskiego sztycharza Hopwood.

»Pszczonki«, pisma, o którém już w dawniejszych numerach wspominaliśmy, wyszedł podobno już Nr. 10.

Pan Bruno Kiciński, który już się przysłużył literaturze naszéj kilkoma pięknemi tłómaczeniami, mianowicie Przemian Owidiusza, zajmuje się przekładem dramatu »Silvio Pelico Francesca di Rumini.« — Zbiór poezyj Wiktora Hugo przez niego tłómaczonych wkrótce wyjdzie. — Zapowiedziane są także jego »Pieśni myśliwskie.«

W najnowszym numerze powszechnéj gazety muzykalnéj lipskiéj, korespondent z Drezna z uwielbieniem wspomina o koncercie Beethowena na skrzypce wykonanym przez naszego niezrównanego Lipińskiego w urządzonym koncercie, z którego dochód na pomnik Beethowena przeznaczony. — Korespondent mówi w referacie to, co z resztą dawno każdy wie, iż tylko pan Lipiński posiada wszystkie przymioty wirtuoza chcącego dzieło tak ogromne wykonać. — O najnowszych etudach pana Lipińskiego daje swoje zdanie niejakiś p. H. L. w Szumana gazecie muzykalnéj. Że dzieło to jako jedno z najważniejszych na szczególniejszą zasługuje uwagę amatorów skrzypców, rozumie się samo przez się, bez zalecenia referenta.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca na ten kwartał 1 Talar, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*